

Wspomnienia ocalałych więźniów

Dokument 1. Wspomnienia Zygmunta Cybulskiego¹ – narodowości polskiej (więzienie NKWD Obwodu Lwowskiego nr 1 „Brygidki”)

Noc z 21.6.

Moi koledzy śpią, ba chrapią, ja chwilami drzemię. Około godziny 2.30 nad ranem słyszę turkot samolotów i pierwsze uderzenia bomb niemieckich na Lwów. Odżyłem. Wojna, więc możliwy ratunek. Mniej więcej około 4.00 dalsze wybuchy bomb. Moi towarzysze (zbudzili się wcześniej) twierdzą, że to ćwiczenia przeciwlotnicze, które zresztą były zapowiedziane, w co nie wierzę.

Niedziela, 22.6.

Około godziny 11 rano atak niemieckiego lotnictwa. Bomby padają na nasz budynek, lecą szyby, na dachu naszego gmachu warczy karabin maszynowy. Dwóch więźniów płacze ze strachu. Grisza- ten Grisza², który rozpytywał o istnienie Boga – siedzi wtulony w kąć ściany i żegna się prawosławnym zwyczajem trzy razy. Udajemy, że tego nie widzimy.

Godzina 17. Następnym nalot na miasto. Otwierają cele. Milicjanci każą „bystro”³ wychodzić. Na korytarzu oddają odebrane podczas rewizji rzeczy. Przechodzimy przez klatkę schodową. Schody wypełnione enkawudzistami, którzy bladzi i przerażeni, stoją przyklejeni do murów. Milicjanci również nie bardzo dzielni szybko przeprowadzają nas bramą do ul. Krzywej. Tam czeka karetka więzienna, do której nas wsadzają i wiozą. Auto pędzi przez miasto, przez górne okienko w dachu orientuję się, że jedziemy w stronę ul. Kazimierzowskiej. Samochód staje, jesteśmy pod bramą więzienia przy ul. [Stanisława] Jachowicza pod tzw. M[ałymi] B[rygidkami].

Ustawiają nas w korytarzu na parterze. Czekamy. Wprowadzają pojedynczo do dyżurnej kancelarii, gdzie przeprowadza się rewizję osobistą. Nad jednym rewidowanym stoi sześciu zbirów. Szarpia, trącają. Z mojego pugilaresu wyrzucają drobne pieniądze na stół. Jeden z żołnierzy znajduje w nim medalik Matki B[ożej] N[iepokalanej]. Bierze go i ze złością rzuca na ziemię, po czym kopie pod stół. Podczas rewizji uratowałem już po raz trzeci swój zegarek, który podsunąłem prawie pod łokieć; nie namacano go, mimo że dotykano (delikatnie mówiąc) mnie wszędzie i całego.

Potem zostajemy wprowadzeni do dużej celi, w której jest już około piętnastu, razem będzie ponad trzydziestu. Warunki tu okropne: brud, smród, robactwo. Naloty niemieckie trwają, bomby padają na miasto – a nam, naturalnie, nie dają jeść, nawet wody.

Poniedziałek, 23.6.

O godzinie 19 wyprowadzają nas na korytarz, ustawiają twarzami do ściany i każą stać. Rozmawiać, naturalnie nie wolno. Potem wsadzają do gruzowiska (auto lora otwarta) i wiozą – a jest już nas z pięćdziesięciu – do więzienia na Kazimierzowską – do Brygidek. Wśród nas stary Żyd w chałacie, z którego wprost kapią wszy. Budzi to wstręt i odrazę. Jeden z konwojujących enkawudzistów zrozumiał to i posadził Żyda osobno, byśmy nie musieli się o niego ocierać.

Jedziemy. Głowy pochylone tak, by nic nie można było zobaczyć. Oczy mają być zamknięte. Każde najmniejsze wyprostowanie głowy i ciała – to kolba w plecy. Przez zmrużone powieki obserwuję kierunek jazdy. Przywożą nas do Brygidek. [...] Wjeżdżamy do bramy od strony ul. [Emila] Byka. Tu w bramie, każą nam sięść na podłodze. Jest między nami kilka kobiet wiejskich; jedna okropnie lamentuje, nie pomaga nawet rozkaz enkawudzisty: małczat!⁴ – baba ryczy nadal.

¹ Zygmunt Cybulski (1899–1943) – obrońca Lwowa z 1918 roku. 20 czerwca 1941 r. aresztowany i przetrzymywany w więzieniu NKWD Obwodu Lwowskiego nr 1 („Brygidki”). Po ucieczce, na gorąco spisał swoje przeżycia z sowieckiego więzienia.

² Osoba niezidentyfikowana.

³ Szybko.

⁴ „Milczeć”.

Z jednych drzwi bije tak straszna woń dezynfekcji, że aż się słabo robi. Nowy nalot: jest godzina 20. Prowadzą nas przez jedno podwórze, potem przez drugie. Mam jakąś dziwną nadzieję, że będę stąd wychodził, i to już sam, nie pod eskortą. Staram się więc zapamiętać rozkład podwórzy i kierunek wyjścia. Rysuje sobie w myślach plan tego olbrzyma więziennego.

Wchodzimy do korpusu nr I, do celi 35 na parterze, a raczej w piwnicy. Cella sklepiona, nieduża, o dwóch oknach, przez które nic nie widać, bo zabite deskami. W celi jest już dość więźniów – razem z nami siedemdziesięciu pięciu. Duszno, powietrze gęste, tym bardziej, że dzień wyjątkowo, jak na to lato gorący. O położeniu się na podłodze, choć bardzo brudnej, nie ma mowy, bo każde miejsce zajęte.

Siedzimy w kucki – po prostu jeden na drugim. Bardziej wygodni wyciągają się, co powoduje awantury i kłótnie. Na szczęście nad drzwiami pali się niebieska lampka, tak, że można w tym mrowisku ludzi rozeznaczyć twarze. Prawie wszyscy na noc rozbierają się do naga – tak gorąco. Enkawudziści podają wodę. Rozkosz!. Choć jej mało i ciepła. Za to w zimie zamarała w celi, jak opowiadano.

Warto opisać towarzystwo. Trochę inteligencji, trochę chłopstwa, Żydów, wreszcie siedmiu żołnierzy bolszewików. Po krótkim czasie dowiedzieliśmy się, dlaczego znaleźli się tu ci ostatni. Jeden to wspomniany już Grisza, pięciu to dezercerzy z frontu (trzeci dzień wojny!), a siódmy to młody blondynek radiotelegrafista, który zdradził Niemcom, gdzie jest ważne skrzydło armii sowieckiej pod Przemyślem. Złapano go na tym.

Do celi wprowadzają kilku nowych. Jakiś adwokat złapany na pl. [abp. Józefa] Bilczewskiego, dwie godziny temu oraz mężczyzna wzięty z ulicy. Obaj Bogu ducha winni wracali do domów. Od nich dowiedzieliśmy się ostatnich wiadomości z frontu. Adwokat słuchał kilka godzin temu radia z Berlina: wojska niemieckie są pod Jaworowem i Rawą [Ruską], poza tym uderzają od południa.

Jest godzina 22. Rozmowy ustają, bo kolejny nalot na Lwów. W tych murach huk bomb i detonacje dają szczególne wrażenia. Wszyscy na ogół zmęczeni. Tylko Grisza wstaje i zaczyna swoje recytacje. Po chwili dołącza do niego jeden z żołnierzy, opowiada dowcipy, nawet niezłe. Blondynek radiotelegrafista, prawie dziecko, oczy ma pewne łez. Grozi mu kulka.

Żyd kapiący brudem i inwentarzem żywym jest sterroryzowany, nie wolno mu sięgnąć, ma stać przy drzwiach. Gdy osłabł, pozwolono mu położyć się w rogu celi, gdzie stoi nieprawdopodobnie cuchnąca blaszana beczka, która służy za dwa zera.

Czas mija, niektórzy posnęli, zbliża się północ. Zaczynam przeglądać mój tobołek, tj. koc z rzeczami, które doręczono mi w areszcie przy pl. Halickim, potem odebrano przy Jachowicza, w końcu znów oddano. Przeglądam i jestem zaskoczony tym, że do pugilaresu z powrotem włożono drobne pieniądze (kopiejki) i co ważniejsze – medalik M[atki] B[ożej] N[iepokalanej]. Serce mi zabiło, napełniło się lepszą myślą na przyszłość, poczułem dziwną sympatię do żołnierza, który zwrócił mi tę cenną rzecz. W tej chwili zapomniałem o więzieniu, o męce, o żołnierzu przestałem myśleć, jak o wrogu. Ten święty medalik sprawił, że życzyłem mu, by jego uczynek w najlepsze obrócił się dla niego.

[...]. Zasnąłem po raz pierwszy od czterech dni.

Wtorek, 24.6.

Okolo 2.30 nad ranem budzi nas krzyk jakiejś kobiety, która waląc rękami w nasze okna naprzód pyta, czy jest tam kto?, a usłyszawszy odpowiedź, że jesteśmy, woła: rozbijać celę! NKWD uciekło. Moskale się cofają, część więźniów jest na podwórzu! W tej chwili wstajemy, ubieramy się szybko; słyszymy szalony ruch w całym więzieniu: rozbijanie drzwi, brzęk szkła, ponad siedem tysięcy więźniów⁵ nie mówi, lecz krzyczy jeden przez drugiego. Wyrwywamy długą deskę z podłogi i próbujemy wybić nią drzwi; te po kilku (może kilkunastu) minutach ustępują. Ale są obite blachą i zamknięte na zewnątrz [...].

Wychodzimy na korytarz i podwórze. Świta. Chcemy dostać się z drugiego podwórza na pierwsze i do bramy, ale to niemożliwe. Wprawdzie na „bocianie” (wysoka otwarta budka dla warty) nie ma nikogo (w całym

⁵ Liczba przesadzona, w więzieniu na „Brygidkach” przebywało około 3600 osób.

więzieniu też nie ma ani jednego żołnierza NKWD), jednak bramy więzienia są zamknięte. Gdzieś na dachu jest karabin maszynowy, z którego strzelają do każdego, kto chce zbliżyć się do bramy od ul. [Emila] Byka.

Początkowo nie orientujemy się w sytuacji. Wiemy tylko, że wszyscy wychodzą z cel, niektórzy dopiero je rozbijają. Chaos nie do opisania: zgiełk, wrzawa, wciąż się słyszy łamanie drzwi i zamków, brzęk szkła. Robi się coraz jaśniej. Chodzę po całym oddziale korpusu nr I (jest to część budynku na rogu ul. Karnej i Kazimierzowskiej, przebiegam parter, I i II piętro. Wśród tłumów więźniów na korytarzu widzę Jacka Chw[alibowskiego]⁶ który momentalnie znika w jakiś drzwiach.

Ktoś mówi, że magazyn prowiantowy na II piętrze rozbity, można iść po papierosy i jedzenie. Piąty dzień nic nie jadłem, więc biegnę, gdzie dostaję trochę papierosów i biorę kilka pierników. Jest tego masa i można brać, ile się chce, ale po co? Przecież za chwilę wychodzimy. Gdybym wiedział, że ta chwila potrwa jeszcze kilka dni, byłbym się obładował. Chodzę dalej i dostaje się do dużej sali na II piętrze z widokiem na ul. Kazimierzowską. Zbliżyć się do okna nie można, bo strzelają stojące na ulicy patrole wojskowe. Jedno z okien jest zabite deską. W desce sęk, a w sęku dziura. Świetny punkt obserwacyjny.

Na rogach ul. Kołłątaja dwa patrole wojskowe – siedmiu żołnierzy. Ulicą Karmelicką⁷ w dół, a więc od ul. Gródeckiej i Janowskiej, szybki odwrót armii sowieckiej. Jakies oddziały, jak gdyby rozbitki pułków, idą całą szerokością ulicy i chodnikami w ogromnym nieładzie. Pędzą polskich jeńców – bardzo dużo- pewnie tych, którzy byli w obozie pracy pod Gródkiem [Jagiellońskim]. Patrzymy na to i przypuszczamy, że Moskale cofną się wraz z patrolami, które otaczają więzienie i wtedy my wyjdziemy. Chodzę po korytarzach i celach. Spotykam p. B.⁸ z którym dłuższy czas siedzę w celi tzw. pojedynce. Opowiada mi o ojcu, który przed rokiem zmarł tu, w Brygidkach. Ten stan trwa do jakiejś godziny czwartej rano.

Schodzę na dół, by wyjrzeć na podwórze. Gdy kończą się schody z I piętra na parter, na wszelki wypadek wyglądam zza muru. W tej chwili kula gwizdże mi przed nosem i znika w ścianie. Uciekam na II piętro. Sytuacja się pogarsza; wojsko opanowuje więzienie i jest już, jak widać na podwórzach. Więźniowie zaczynają cofać się do swoich cel. Ja do mojej nie mogę wrócić, bo jest na samym dole. Poza tym zdaje mi się, że będzie lepiej, gdy mnie znajdą w jakimś neutralnym punkcie. Idę więc do sali, z której patrzyłem przez okno. W niej oprócz mnie jest dwóch ruskich chłopów, starszych, którzy siedzą na ziemi. Płaczą ze strachu, modlą się. W rogu stoi ogromna beczka (musiał tu być jakiś magazyn), jeden z nich wchodzi do niej i nakrywa się workiem.

Słyszę w całym budynku strzelaninę i bieganie. Siadam na ziemi przy ścianie i czekam. NKWD wróciło. Nadchodzi jakiś komandir z trzema żołnierzami. Komandir z naganem w ręce, żołnierze z najeżonymi karabinami. Wrzeszczy do nas: „leży!”⁹ Kładziemy się. Znajdują tego w beczce. Odchodzą.

Mija może pół godziny, w gmachu cichnie. Przychodzi inna trójka, jakiś podoficer i dwóch żołnierzy. Każą nam położyć się na brzuchu i trzymając ręce na plecach, czołgać się na korytarz. Bardzo niemiła akrobacja, skutkiem której kolano miałem zranione do krwi, a tylną część ciała skopaną – kopaniem buciorami. Nadawano odpowiednie tempo czołgania się.

Na korytarzu, przy drzwiach ustępu, jeden zatrzymuje nas, otwiera drzwi i po prostu wkopuje do środka. Tam, na brudnej, mokrej podłodze leży już kilku. Komandir wrzeszcząc – „leży!”, zamyka nas na klucz. Po godzinie wraca ta sama trójka i zabiera po trzech. Jestem z tymi dwoma chłopami, z którymi mnie znaleziono. Każą nam iść, nie czołgać się – z głową pochyloną w dół, z rękami skrzyżowanymi na plecach. Idę w środku. Koło nas żołnierze i komandir.

Przychodzimy pod celę 54, która mieści się na II piętrze w I korpusie. W drzwiach, na wysokości głowy, okienko o rozmiarach mniej więcej 40 x 30 cm. Komandir otwiera je i mówi do jednego z chłopów: „jakeś wylazł, tak wleziesz! A jak nie wleziesz tym otworem, to cię tu zastrzelę!” Chłop dostaje po prostu szału. Wdrapuje się na

⁶ Jacek Chwalibogowski (1922–1941) – absolwent Państwowego Gimnazjum i Liceum imienia króla Kazimierza Wielkiego we Lwowie. Oskarżony z art. 54-2-11 Kodeksu Karnego USRS. Zamordowany w czerwcu 1941 r. w więzieniu NKWD Obwodu Lwowskiego nr 1 („Brygidki”).

⁷ Błędna lokalizacja

⁸ Osoba niezidentyfikowana.

⁹ „Leżeć”

drzwi, wsadza głowę, spada. Po chwili komandir otwiera drzwi celi i kopiąc chłopa oraz bijąc go naganem w tył głowy wrzuca do środka. Ja dostaję kopniaka w plecy, drugiego w bok i uderzenie pięścią w lewe ucho tak silnie, że jego skutki odczuwam długo. Podobnie postępuje komandir z trzecim z nas, po czym zamyka drzwi, wsadza rewolwer przez okienko i strzela do celi. Kula odbija się o ścianę i rykoszetem uderza w powiekę jednego z więźniów. Cella jest bardzo duża (dawniej była bożnicą więzienną). Na podłodze ludzka masa, jedni leżą na drugich, przylepieni do ziemi. Jest całkowita cisza.

Po jakimś czasie wchodzi NKWD. Zabierają z celi trzydziestu, także mnie, i prowadzą do celi obok – nr 53. Tu też pełno, drzwi nie ma, bo rozbite przed kilkoma godzinami.

Jestem okropnie zmęczony. Byłem o krok od wolności, a teraz znowu pod kluczem. W tej celi spotykam znajomego, inż. Adama K[ozakiewicza].¹⁰ Siedzi w Brygidkach półtora roku. Wygląd ma odpowiedni. Rozmawiać na razie nie możemy, bo przed rozbitymi drzwiami chodzą wartownicy.

Po godzinie zabierają nas z tej celi i prowadzą pod 54. Jestem znów w dawnej bożnicy żydowskiej. Jest też inż. Adam K[ozakiewicz], więc mam bratnią duszę. Po jakichś dwóch godzinach, pełnych obaw o przyszłość, wchodzi kilku (może ich było nawet dziesięciu) enkawudzistów. Każą wstać i ustawić się piątkami wzdłuż ścian. Wychodzą, po pewnym czasie wracają i liczą. Jest nas 170. Znów wychodzą. Po godzinie wracają. Rozdają drukowane kartki wielkości pocztówki, na których każdy ma napisać: imię i nazwisko, imię ojca, datę urodzenia, datę aresztowania i paragraf stanowiący podstawę oskarżenia.

Zastanawiamy się z inż. Adamem K[ozakiewiczem] i dochodzimy do wniosku, że NKWD w nocy zabrało akta i nie przywiozło ich z powrotem. Możliwe, że zniszczyli je więźniowie. Stało się jasne, że zapanował tu bałagan, enkawudziści stracili ewidencję. Mówię do inż. K[ozakiewicza], żeby nie podawać swego prawdziwego nazwiska. On boi się, twierdzi, że go tu znają, mają jego fotografię.

Podaję, że się nazywam Antoni Romualdowicz Zawadzki. Wychodzę z założenia: niech mnie szukają. Czy będą wywoływać moje prawdziwe nazwisko, czy zmyślone – nie odezwę się. Liczę na zwłokę. Tymczasem przychodzi mi na myśl, że mogą dokonać masowej egzekucji w celi – karabinem maszynowym. Jakąś kolosalną siłą woli odpędzam tę myśl. Kiedy wypełniliśmy kartki i oddaliśmy je, enkawudziści wyszli. Około południa podali, zresztą pierwszy raz, wodę i chleb, którego naturalnie wszystkim nie wystarczyło, mnie też. Ale nie chcieli mi się jeść, tylko pić i palić.

Po południu otwierają drzwi celi, ustawiają w nich stół, za którym siada enkawudzista, oficer, Żyd. Teraz każdy musi podejść do niego i jeszcze raz powiedzieć to samo, co napisał na kartce. Gdy zapytał mnie, za co siedzę i jaki mam paragraf, odpowiedziałem, że zostałem zatrzymany przez policję na ulicy 22.6 (a nie, jak naprawdę, 20), a co mi zarzucają, nie wiem, bo wcale nie byłem przesłuchiwany. Zapisał: „przetrzymany” i kazał odejść od stołu. Inni, którzy siedzieli już długo i mieli tzw. ciężkie paragrafy oraz byli niejednokrotnie przesłuchiwani, też nie mówili prawdy. Po rejestracji każą nam cicho leżeć, nie rozmawiać. Nawiasem mówiąc, więźniowie musieli leżeć na tych brudnych podłogach całymi miesiącami.

Około godziny 18 zaczynają wywoływać z celi. Padają nazwiska tych, którzy tu są, jak i tych, których nie ma. Widać, że dalej nie mają ewidencji. Zabierają około czterdziestu. Każą im spakować swoje rzeczy i czekać. Trwa to do 20. O tej godzinie wychodzą z celi, żegnają się ze wszystkimi, nawet z tymi, których poznali choćby przed chwilą. Tu, w tych murach, szybko zawiązuje się kontakt i dochodzi do zbratania. Nie ma sfer, nie ma wieku, są tylko ludzie.

O 21.30 padają dwa strzały rewolwerowe z dachu nad nami, potem odzywa się karabin maszynowy z przeciwległej strony więzienia. Zaczyna się strzelanina. Słychać wybuchy jakby granatów ręcznych. Potworny huk na podwórzach więzienia i dookoła niego. Trudno zorientować się, co to jest. Przypuszczamy: albo rozstrzelują więźniów z karabinu maszynowego, albo Niemcy wtargnęły do miasta i walki toczą się blisko Brygidek. Strzelanina trwa do północy.

¹⁰ Adam Kozakiewicz (1906–1941) – architekt, oficer rezerwy, porucznik Wojska Polskiego, uczestnik wojny obronnej 1939 r., aresztowany 10 kwietnia 1940 r., oskarżony z art. 54-13 Kodeksu Karnego USRS, rozstrzelany po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w więzieniu NKWD Obwodu Lwowskiego nr 1 („Brygidki”).

Noc z 24 na 25.6

Niemieckie ataki lotnicze na Lwów. W okolicy więzienia padają bomby.

Środa, 25.6.

Rano drugie wywołanie. Znow wyprowadzają około trzydziestu. Słyszemy ruch na podwórzach i mamy wrażenie, że tam trzymają wyprowadzonych z celi. Dochodzą głosy Moskali, którzy wołają: „leżyt!” Widocznie na podwórzu też trzeba leżeć. Około godziny 10 znow padają dwa strzały z rewolweru i odzywa się karabin maszynowy. Rozpoczyna się tak samo potworna strzelanina jak wczoraj.

Po południu trzecie wywołanie. Z celi znow idzie z dwudziestu, między innymi inż. Adam K[ozakiewicz]. Żegna się z nami. Jest blady, ale trzyma się. Z uśmiechem mówi: „dziękuję panu, było krótko, ale dobrze.” Niknie za drzwiami celi. Odchodzą również Stanisław S.¹¹, Staszek Sł.¹² i Ska...¹³ - ci bliżej znani.

Niemcy bombardują Lwów. Jedna z większych bomb spada na ul. Karną koło Brygidek. W momencie wybuchu wstrząs był tak silny, że mieliśmy wrażenie, iż rozpada się zewnętrzna ściana celi. W oczekiwaniu na dalsze wywołania mija czas. Każdy krok warty w korytarzu, każde otwarcie judasza w drzwiach – potęgują zdenerwowanie; każdy myśli, że to po niego. Ale tego dnia już nie zabierano z naszej celi.

Po godzinie 20 znow zaczyna się strzelanina, tak samo jak wczoraj i dziś rano. Teraz jest już jasne, że to nie są żadne bitwy. Przypuszczamy, że w tym czasie odbywa się albo dalsze terroryzowanie więźniów, albo ich rozstrzeliwanie, strzelanina zaś służy do zagłuszania jęków. To drugie jest dziś dla nas, uratowanych, pewnikiem. Okna naszej celi wychodzą na drugie podwórze, na którym jest dość duża kaplica więzienna. Koło niej ustawiczny ruch, trzaskanie, jak gdyby drzwiami do niej.

Noc z 25 na 26.6.

Ataki niemieckie na miasto. Usypiam. Budzi mnie krzyk, jakiejś wieśniaczki, która na podwórzu błaga Moskali o życie. Chcąc się ratować, woła, że pracowała dla [Józefa] Stalina, że ma dzieci. Pada strzał – i cisza. Skrzypnięcie bramy do kaplicy, kroki żołnierzy oddalają się z podwórza. Więc coś się w tej kaplicy dzieje.

Czwartek, 26.6.

Znow zabierają z celi. Pozostało nas zaledwie pięćdziesięciu. Jeść nie dają w dalszym ciągu. Tytoń i papierosy się kończą – wielka rozpacz. Wywołują dwóch Ukraińców, których po godzinie przyprowadzają z powrotem. Ci nic nie mówią, gdzie byli. Później wywołują posterunkowego PP La...¹⁴ oraz jeszcze jednego. Ci też po pewnym czasie wracają. Od La... dowiadujemy się, że był przesłuchiwany przez sąd doraźny, ale nie rozumie, o co chodziło przesłuchującym.

Pod wieczór doprowadzono do naszej celi około dwudziestu. Jeden z nich siedział przedtem w celi przylegającej do kancelarii więzienia, gdzie urzęduje naczelnik, i opowiadał, że słyszał w nocy rozmowę telefoniczną, a ściślej – dwie odpowiedzi. Pierwsza: „Tak, co polityczne i ważniejsze już nie ma”, i druga: „Więc resztę wystrzelać, charaszo¹⁵.” Wiadomość ta rozchodzi się błyskiem po naszej celi. Wrażen, jakie wywołuje, opisywać nie trzeba.

Ataki niemieckie trwają prawie cały dzień. Ul. Kazimierzowską nieprzerwanie jadą auta, czołgi, armaty, rozróżniamy je po rodzaju turkotu. Chwilami mylimy kierunek – nie wiemy, czy jadą w dół, czy do góry. W celi zupełna rezygnacja i apatia.

¹¹ Prawdopodobnie Stanisław Skórski (1883–1941) – inż., ppłk. rez., członek Obozu Zjednoczenia Narodowego, członek konspiracyjnego Śląskiego Legionu Śmierci, aresztowany 22 marca 1940 r., oskarżony z art. 54 – 2,11 Kodeksu Karnego USRS, skazany 19 listopada 1940 r. na 10 lat ITŁ (Poprawczy Obóz Pracy), rozstrzelany po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r.

¹² Prawdopodobnie Stefan Słabicki (1905–1941) – funkcjonariusz Policji Państwowej, aresztowany 16 kwietnia 1941 r., oskarżony z art. 54-13 Kodeksu Karnego USRS, rozstrzelany po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w więzieniu NKWD Obwodu Lwowskiego nr 1 („Brygidki”).

¹³ Osoba niezidentyfikowana.

¹⁴ Osoba niezidentyfikowana.

¹⁵ „Dobrze”.

Około 20.00 otwiera się okienko w drzwiach. Staje enkawudzista i mówi (po polsku), żeby być cicho i nie palić papierosów blisko okien, bo German¹⁶ bardzo bije. Pyta, czy chcemy wody. Jeszcze jak chcemy! Przynosi wodę, zamyka okienko i zabija je prócz stałych zamków – gwoździami. Coś nowego.

Noc z 26 na 27.6.

O trzeciej nad ranem bombardowanie miasta.

Piątek, 27.6.

Pewnie około 10.00 wywołują z naszej celi kilkunastu. Zostaje około pięćdziesięciu. (Jest to ostatnie wywołanie aż do naszej ucieczki). Nieco później podają wodę i jak poprzednich dni na noc, tak teraz w samo południe zabili gwoździami okienko w drzwiach. To u wielu wywołało ogromne zdenerwowanie. Padają przypuszczenia, że Moskale zechcą podpalić więzienie wraz z żywymi. [...].

Od tej chwili do końca dnia i wieczorem nie działo się nic. Na korytarzu żadnych kroków. W nocy (godziny nie pamiętam) usłyszeliśmy ruch na podwórzu; najpierw ustawianie się jakichś ludzi, potem miarowe kroki butów – jak gdyby większego oddziału. Jak się potem okazało, był to wymarsz NKWD.

Sobota 28.6.

Rano w więzieniu zupełna cisza. Ulicą coraz rzadziej przejeżdża jakieś auto lub czołg. Około godziny 11 zaczyna się ruch na podwórzach. Z innych skrzydeł dochodzą głosy rozbijania czegoś. Naraz krzyki z podwórza. Jakaś kobieta woła: „Lucek, Lucek, czy jesteś tam?” Z celi nad nami na I piętrze odzywa się głos: „Mamo, jestem. Co robić?” Kobieta odpowiada: „Rozbijajcie cele! NKWD nie ma, Moskale cofają się z miasta, są tylko patrole, które nic złego nie robią!”

Jeden z naszej celi wychodzi na okno i mówi: „Rozbijajcie wy, pomóżcie, nie damy rady z główną kratą, która zamyka korytarz II piętra!” Wszyscy boją się po raz drugi rozbijać cele. Pamiętamy niefortunne rozbicie Brygidek w nocy z 23 na 24.6. czekamy, serce wali jak młotem. Po chwili słyszymy, że rozbijają kratę na naszym piętrze. Wywalamy drzwi celi i wychodzimy na korytarz. Tu gromadzi się około dwustu osób. Stoimy i czekamy. Przepiłowanie kraty trwa bardzo długo – nam się wydaje, że wieczność.

Stoję z panem B.,¹⁷ z którym mamy razem uciekać. Chcemy dostać się na ul. [Hugona] Kołłątaja, gdzie mieszka moja znajoma. Wybieramy to miejsce, bo nie wiemy, czy uda się od razu dostać do naszych domów. Wreszcie drzwi – krata otwarte. Zbiegamy z II piętra na drugie podwórze, potem na pierwsze. Tu porozrzucane rzeczy i worki (jak się później okazało, były one własnością pomordowanych więźniów). Pierwsza brama otwarta, druga też. Jesteśmy na ulicy! Mam wrażenie, że serce mi pęknie, tak wali – a nogi jak z gumy. Wybiegamy na ulicę [Emila] Byka i chcemy przez Kazimierzowską dostać się na [ul. Hugona] Kołłątaja. To niemożliwe, bo ul. Kazimierzowską ciągną jakieś bolszewickie patrole i auta.

Uciekamy więc z panem B. ul. Karną do Słonecznej, stamtąd na plac, tzw. Paryż i na ul. Legionów. Tu pojedyncze auta sowieckie maskowane gałęziami. W środku żołnierze. Przechodzimy koło Teatru Wielkiego. Spoglądam na mojego towarzysza. Dopiero tu, w dziennym świetle widać, jak wygląda – twarz blada, bez śladu krwi. Siedział 16 miesięcy.

W połowie ul. Legionów wpadamy do bramy i prosimy o łyk wody. Usta mamy jak sparzone. Idziemy dalej. Gdy jesteśmy koło „Bristolu”, następuje wybuch w Izbie Skarbowej, naprzeciw, przy ul. Hetmańskiej. Kryjemy się do bramy „Bristolu”, a tu jakiś młody Żydek nie pozwala nam stać. Chcemy iść dalej, tymczasem z Sykstuskiej wychodzi trzech żołnierzy bolszewickich, z karabinami jak do strzału. Cofamy się do „Bristolu”. Po chwili wychodzimy, już ich nie ma. Idziemy Jagiellońską na Trzeciego Maja. Koło „Imperialu” mój towarzysz spotyka znajomego portiera z hotelu. Dają nam wodę i papierosy. Pan B. zostaje, by się ogolić. Obaj wyglądamy okropnie.

¹⁶ Niemiec.

¹⁷ Osoba niezidentyfikowana.

Żegnam pana B. i dalej idę sam. Do domu nie mam odwagi i sił, bo mieszkam na Nowym Lwowie. Postanawiam wstąpić do rodziny, która mieszka na ul. [Brata Alberta] Chmielowskiego. Z [ul.] Trzeciego Maja przez [ul. Tadeusza] Kościuszki, [ul. Karola] Szajnochy i [ul. Samuela Bogumiła] Lindego dostaje się na pl. [Jarosława] Dąbrowskiego. W tej chwili słyszę wybuchy amunicji. Zdaje się, że blisko, na Cytadeli, a okazuje się, że koło dworca. Od bramy do bramy biegnę ul. [Stanisława] Staszica na [ul. Bartłomieja] Zimorowicza i chcę się dostać na [ul.] Kaleczą. Niemożliwe, bo tam auto za autem z wojskiem. Wracam [ul. Bartłomieja] Zimorowicza i przez [ul. Antoniego] Małeckiego na [ul. Joachima] Lelewela. Pędzę nią w górę i jestem na [ul. Brata Alberta] Chmielowskiego. Wpadam do bramy. Naprzeciwko mnie wybiega moja matka. Tego momentu nie potrafię opisać.

Źródło: Z. Cybulski, *Pamiętnik z Brygidek* [w:] „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1995, nr 1-2 (151-152), s. 175-182; Z. Cybulski (relacja) [w:] K. Popiński, A. Kokurin, A. Gurjanow, „Drogi śmierci: ewakuacja więźniów sowieckich z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej w czerwcu i lipcu 1941”, Warszawa 1995, s. 46-52.

Dokument 2. Wspomnienia Zdzisława Teliczka¹⁸ – narodowości polskiej (więzienie NKWD Obwodu Lwowskiego nr 1 „Brygidki”)

Wybuchła wojna, zastrzona dyscyplina jest i mamy się zachowywać i wykonywać ściśle polecenia. I rzeczywiście nic się nie działo przez tą Niedzielę oprócz radości w sercach, jaka zagościła, isierka nadziei, może wydostaniemy się z tego więzienia. W poniedziałek nasiliły się te wybuchy, Lwów był bombardowany [...]. Również w poniedziałek nic nadzwyczajnego się nie działo, wszystko normalnym trybem. Tak dotrwaliśmy do wtorku rano.

We wtorek rano pobudka miała być o godzinie szóstej (to jest 24 czerwca) wg. czasu moskiewskiego, tymczasem my nawet nie mając zegarków, jakoś wyczuwaliśmy, że już jest później niż ta godzina szósta no i zaczęliśmy się z niepokojem kręcić po tej celi, jaka jest przyczyna tego. Wkrótce wyjaśniło się. Z tego bloku naprzeciw, tam, gdzie siedzieli więźniowie pospolici zaczęły odzywać się głosy „Wywalajcie drzwi więzienia, NKWD uciekło”.

Nie trzeba nam było tego powtarzać. Co sprytniejsi, wyleźli tam na to okno, bo ono było dosyć wysoko w celi, podsadzeni przez innych, zaczęli zwałać te kosze [...]. Wywalono te kosze i rzeczywiście zobaczyliśmy, że spora grupa więźniów, tam z tego bloku przestępców pospolitych znajduje się na podwórzu i pokrzykują na nas, żebyśmy właśnie rozbijali drzwi cel i wychodzili. No nie trzeba nam było tego powtarzać. Proszę sobie wyobrazić, że my przecież nie najsilniejsi, wychudzeni, wygłodzeni więźniowie zabraliśmy się do tego żelaznego pieca, żeby nim drzwi rozwalić, bo innych możliwości nie mieliśmy [...]. Zaczęliśmy walić, tak, że w tych drewnianych drzwiach, bo one na całe szczęście nie były obite blachą, wywaliliśmy w tej celi nr 52 otwór, że taki pojedynczy człowiek mógł się przecisnąć. Wszyscy razem się tam pchali, ja właściwie na ostatku się przepchałem przez ten otwór. Więźniowie z innych cel, tak samo wysypywali się, i mniejsze czy większe otwory wywalali, tam, gdzie była ta blacha to było to bardziej skomplikowane ale w każdym razie, z tego całego piętra wszyscy więźniowie wydostali się. No jedni drugim pomagali, ci co pierwsi, to z zewnątrz tam w jakiś sposób pomagali. Największym problemem była ta krata ale okazało się, że krata nie była zamknięta, nie wiadomo dlaczego, z korytarza na schody, tak, że ci wszyscy więźniowie, z tych wszystkich cel na drugim piętrze zaczęli wysypywać się na te schody.

W tym czasie [...] z kamienic cywilnych [naprzeciw więzienia] zaczęto do nas strzelać, no i rykoszety, no bo te okna były dosyć wysoko więzienne, więc nie trafiały te kule bezpośrednio w więźniów, tylko rykoszety trafiały więźniów, którzy się wysypali [...]. Te rany nie były takie groźne, nie były śmiertelne. Wszystko to sypało się w kierunku sieni i oczywiście ta brama więzienna widocznie była nie do otwarcia, bo albo nie było kluczy albo jakaś inna przyczyna, trudno mi powiedzieć, wszyscy wysypywali się tu na to podwórze. [...]. Ci więźniowie pospolici szli nam w jakiś sposób pomagać. Trwało to może pół godziny, więcej nie trwała ta cała ucieczka z tych cel, wiedzieliśmy, że tam z niższych cel też, okrzyki świadczyły o tym, że tam również z tych cel z pierwszego piętra, z parteru i tam z tych piwnic więźniowie zaczęli się wysypywać na to podwórze. Nie wiem dlaczego nie wysypali się na ulicę. Ale przypuszczam, że [...] nie można było otworzyć tej bramy na zewnątrz na ulicę tą Kazimierzowską. Wszystko na to podwórze się wysypywało i szło w kierunku drugiego tego wyjścia [...]. I w

¹⁸ Zdzisław Teliczek (1919–2018) – żołnierz ZWZ, aresztowany 7 lutego 1941 r., oskarżony z art. 54-10-11 Kodeksu Karnego USRS.

tym czasie, nie wiem, z której strony, bo trudno mi powiedzieć, bo ja nie doszedłem dalej, jak pomiędzy drugim a pierwszym piętrzem, szedłem tak na samym końcu. Naraz odezwały się strzały, wybuchy granatów, strzelanina tutaj na tym podwórzu. I ta masa więźniów, która szła dotychczas na dół runęła z powrotem. Tak, że ja byłem jednym z pierwszych. I już nie trafiłem na tą celę nr 52, tylko nie pamiętam wtedy do której celi, runąłem do pierwszej lepszej celi, w której był największy otwór. [...].

Strzelanina z tych kamienic naprzeciwko [więzienia] wzmogła się. A tu rozległy się strzały, pojedyncze strzały, granaty, karabin maszynowy [...] z terenu więzienia. Z wyszek¹⁹ słychać było odgłosy broni maszynowej. To wszystko runęło z powrotem. Trwało to może 5 może 10 minut. Wszyscy powpadali do cel, a za nimi NKWD z pistoletami w dłoni. Masa ich była. [...]. Ci co wpadli na tę celę, oczywiście leżeliśmy jeden na drugim, tam sporo tych więźniów przybyło. Wrzaski straszliwe, przekleństwa. Polecenie „Wszyscy kłaść się plackiem na tej podłodze, jeden na drugim, jakby tam nie było bo inaczej kula w łeb”. Rzeczywiście tam w sąsiednich celach, tu w mojej celi nie zastrzelono nikogo.[...]. Ale tam w sąsiednich strzały było słychać, strzały z pistoletu. I teraz, gdy już położyliśmy się, przy każdym otworze była obsługa rkm, tego karabinu maszynowego, dwóch czy trzech czubaryków i te lufy skierowane w naszym kierunku. Powiedzieli, że jeżeli ktokolwiek się ruszy to będą strzelać. No i rzeczywiście nie ruszaliśmy się. Trwało to leżenie tam, zanim to wszystko „uporządkowali”, że tak powiem, tak słyszeliśmy tam jęk tych rannych, prawda, strzały świadczące tam o tym, że dobijają tam kogoś.

Leżeliśmy tak nieruchomo, przestraszeni, przerażeni do wieczora. Wieczorem pozwolili nam sięść. Kazali sięść. Więc siedliśmy. Oczywiście cały czas [strzelał] ten rkm, ten karabin maszynowy. Pozwolono nam usiąść. I pozwolono tam dwóm oczywiście pod strażą wziąć wodę, jakiś pojemnik i przyniesiono nam na celę wody. Chciałem tu jeszcze powiedzieć, że w tym czasie, gdy inni byli tam spragnieni tej wolności i prędko zbiegali tam na dół, na to podwórze więzienne, to niektórzy zaglądali tam do bocznych pomieszczeń, a tam były takie magazyny żywnościowe, tak, że niektórzy tam nabrali, tam chleb, jakieś takie pierniki, to oni nazywali, bałabuchy słodkawe. [...].

Zaraz z chwilą wybuchu wojny wszystkich tych więźniów [z pojedynczych cel] ponoć rozstrzelano. [...]. Tam w tych celach pojedynczych zaraz likwidowano w pierwszych dniach wojny, w poniedziałek. Cel w tych pojedynkach było jakieś dziesięć. Mimo, że to były cele pojedyncze siedziało po kilku więźniów.

Wieczór we wtorek do jedzenia nic nam nie dano. Ci którzy tam zaglądali do tych magazynów to podzielili się tym, co tam zdołali stamtąd zabrać, m.in. groch zabrali, tam jakieś te tzw. pierniki, więc to wszystko porozdzielali, palić papierosów nam nie pozwolono. Można było palić, ale w tym czasie nam nie pozwolono. Ograniczono nasze ruchy do minimum. Kazano nam siedzieć i więcej nic.

Wieczorem, mogła być godzina dziewiąta, dziesiąta weszło do naszej celi [...], te drzwi pootwierano ale przy tych otworach nadal siedzieli ci strażnicy z ręcznym karabinem maszynowym, te drzwi otwierano i zamykano i przysła do nas grupa NKWD-istów, w tym było kilku oficerów. Drżałem o swoje życie pamiętając o obietnicy tego Liesnoja²⁰, obiecał mi, że się odwdzięczy za tą prowokację²¹, ale jego wśród nich nie było, były to zupełnie obce twarze, żadnego z tych nigdy nie widziałem, ani w czasie śledztwa, ani tutaj w więzieniu. Strażnicy też byli jacyś inni. [...]. Weszli, każdemu wręczyli kartkę [...] i kazali wypisać swoje imię, nazwisko, no i tam te wszystkie dane personalne oraz paragrafy, z jakiego paragrafu siedzi. Dali tam kilka ołówków na tą celę, skrupulatnie to potem zabrali i każdy miał tam wpisać, więc zaczęliśmy się zastanawiać, chociaż nie można było rozmawiać, oczyma się porozumiewaliśmy, jaka jest przyczyna tego, że oni nam dają do wypełnienia te karty. Były to karty ewidencyjne więźnia i tam te wszystkie rubryki, które oni kazali wypełnić były. Więc ja zacząłem szybko bardzo intensywnie myśleć i doszedłem do wniosku, że najprawdopodobniej oni zniszczyli nasze akta. Albo te akta są tak rozproszone, na skutek tego, że tamci więźniowie penetrowali tam te pomieszczenia [kancelaria] szukając żywności iż może tam pomieszali. [...]. No w każdym razie ja nie wypisałem swego nazwiska, wypisałem nazwisko fałszywe, jakieś pierwsze lepsze, które mi się na myśl nasunęło – pamiętam Leszek Sokołowski. Był to kolega ze szkoły powszechnej, gdzieś tam z lat dwudziestych. Wiedziałem, że jego tutaj na pewno nie ma. Nie

¹⁹ Tzn. wieży strażniczych.

²⁰ Starszy śledczy NKWD USRS młodszy lejtnant bezpieczeństwa państwowego [N] Liesnoj.

²¹ Chodzi o przeprowadzone przez NKWD w Brzuchowicach, w pobliżu domu rodzinnego Zdzisława Teliczka poszukiwanie ukrytej broni. Okazało się ono bezowocne ponieważ nie wskazał on właściwego miejsca jej ukrycia.

sądziłem, żeby on tu był. I napisałem tylko ten jeden paragraf 50-80 – to była kontrewolucyjna propaganda. Pamiętam jeszcze minę tego, który odbierał ode mnie tą kartkę. Popatrzył na mnie i pogroził mi palcem po ojcowsku – wyglądałem na dzieciaka.

Zebrałi te kartki, poszli, słycać było, schody drewniane – tam zeszli gdzieś na dół i na razie cisza. Trwało to kilka godzin, a my tak siedzieliśmy beznadziejnie, czasem ktoś tam do kogoś szepnął słówko, nie oglądaliśmy się. To była noc, głęboka noc. Nie było żadnych strzałów – nic. Gdzieś tak nad ranem usłyszeliśmy warkot wjeżdżających na podwórze czołgów, może nie tyle na podwórze, co w tę bramę. Wjechały w tę bramę czołgi, w tę sień, może to były ciągniki, działa pancerne, trudno mi powiedzieć, w każdym bądź razie, coś, co bardzo mocno warczało. Wjechały [...] i tak słycać było, że te silniki chodzą na wolnych obrotach, z tym, że bardzo głośno, musiały być pozbawione tłumików. [...].

I zaczęła się taka historia. Przychodziła mniej więcej ta sama grupa tych enkawudystów, czterech do sześciu i wywoływali z tych kart napisanych przez nas nazwiska. Z celi wybierali po trzech, pięciu, siedmiu osób, po kolei, po kolei. [...] Tu na górze było jakieś pięć do sześciu cel, niektóre były podwójne. Wywoływali nazwiska i prowadzili gdzieś na dół. Gdy już sprowadzili ich na dół silniki tych czołgów, czy ciągników zaczęły bardzo głośno warczeć. Niektórzy dosłuchiwali się tam odgłosów strzałów, ja chociaż słuch miałem wtedy dobry – nie słycałem. [...] I tak cała ta procedura powtarzała się aż do soboty rano – czyli wtorek noc, środa – dzień i noc, czwartek dzień i noc, piątek dzień i noc, sobota rano. Pomiędzy jedną a drugą grupą to trwało może pół godziny, może godzinę, tak mniej więcej.

W tej celi zostało nas troje, a było kilkudziesięciu – ja, rotmistrz jakiś, nie znany mi, bo z nim nie siedziałem w celi, w mundurze i chłop, rolnik, Polak, który jak mówił nie chciał do kolchozu. Nas troje zostało. To była sobota rano. Mieliśmy świadomość, że rozstrzeliwują, mieliśmy jeszcze nadzieję, że może zabierają do transportu, trudno nam było się zorientować [...], co się tam działo. Słyszeliśmy płacz kobiet, dzieci, tam odgłosy różne ze wszystkich stron tak oddziaływały na człowieka, że zdezorientowany był, taki człowiek od wewnątrz martwy, nie reagował już właściwie na nic, ani strach tu już nie działał, ani chęć życia, czy coś takiego, nic. Tym bardziej, że my nie dostawaliśmy jeść, tylko człowiek, tę wodę pił. Zjadło się to, co ci więźniowie tam zabrali z tych magazynów. No, ale jakoś to wystarczyło, by człowiek jako, tako żył.

Z tych kartek nie wywołano mnie, Ani mego prawdziwego nazwiska, ani tego które podałem. Jakoś nie wywołano mnie. Więc kombinowałem w ten sposób. Jeżeli wywołają to nazwisko, które podałem, że nie ma takiego, tzn. nie przyznałbym się. Gdyby wywołano me prawdziwe nazwisko też bym się nie przyznał. Na celi mnie nikt nie znał bo wpadłem zupełnie w obce środowisko. Ale nie wywołano żadnego nazwiska. [...] To była sobota rano, godzina mogła być jakaś siódma, wg. naszego czasu, nie moskiewskiego. Siedzimy we trójkę w tej celi, wchodzi znowu ale już nie w takiej ilości jak przedtem i z każdej celi już bez nazwiska, bez niczego każą wychodzić. Pamiętam, jak ten biedny chłopina, który nie chciał być członkiem kolchozu pytał się „Czy z wieszczami?” „Czy z rzeczami?” „No dawaj”. „Bierz”.

Idziemy w kierunku tych schodów i o dziwo nie prowadzą nas na te schody, tylko każą nam wejść do pierwszej celi z brzegu, przy tej kracie, która zamyka wyjście na schody. Wepchano nas tam do tej celi, jak wszedłem z tą trójką do tej celi [na drugim piętrze] zauważyłem, że jest nas około trzydziestu osób. Każdy na wpół martwy. Siedzą – nikt nic nie mówi [...]. Nikogo znajomego nie było. [...] Siedzimy i każdy tam widocznie rozmyślał, co dalej. Ja myślałem tak, że widocznie nie będą się z nami tu bawili, nie będą nas sprowadzać na dół i tam na dole rozstrzelawać, tylko wrzucą tutaj do tej celi granaty, kilka granatów i to będzie nasz koniec. I teraz słuchamy, jest moment najbardziej dramatyczny – słuchamy, co teraz będą robili z tymi drzwiami. Odepchnęli nas, jeszcze kogoś, jeszcze kogoś po dwie, po trzy osoby i teraz te drzwi przymykają się powoli, nie słycać, żeby zamykali na klucz. W międzyczasie nagonili tych więźniów pospolitych i kazali im jakoś zabezpieczyć te otwory w drzwiach, pozabijali je jakoś deskami, tak, że tych otworów przez które wydostawaliśmy się z cel już nie było.

Zamyka ten czubaryk²² te drzwi i słuchamy, co dalej, czy nie otworzy tego okienka. Nie, nie otwiera. Słyszemy, że drzwi nie zamyka na klucz, na te zasuwę, otwiera tą kratę na schody, krata się zamyka, słycać przekręcanie klucza w tej kracie i kroki na dół. [...] Po pewnym czasie usłyszeliśmy głosy ludzkie na tym

²² Pogardliwe określenie żołnierzy Armii Czerwonej, nawiązujące do kształtu czapek ze szpicem, noszonych przez czekistów.

podwórzu. [...]. Któryś z więźniów powiedział: „To ludzie”. I rzeczywiście słyszeliśmy głosy, jakiejs matki „Władziu, Władziu, gdzie ty jesteś?” A tam ktoś rozpaczał, zobaczył widocznie martwe zwłoki kogoś z rodziny. Robi się ruch na tym podwórzu i słychać, że ludność cywilna wtargnęła na podwórze. Słyszymy teraz [...] głos taki, z tych poszczególnych pięter odzywają się. Tego Władzia matka znalazła, co za szczęście. „Mamo ja tu jestem. Mamo ja tu”. Krzyczą, że więzienie się pali. Więc my zaczynamy wołać, ponieważ te kosze już były odwalone przez więźniów wcześniej, żeby nam pomogli, bo dochodzimy do tej kraty, a ta krata zamknięta. Więzienie się pali, dym się już snuje tu do nas, nie ogień, ale dym. Wołamy tam takich ludzi, żeby nam pomogli. [...]

Po kilku minutach, kilku mężczyzn na drugie piętro do nas przyszło, z kawałkami jakiegoś żelaza, dali nam z tej strony, oni z tamtej strony, wykuwali taki olbrzymi zamek z tego muru. No bo innego wyjścia nie było. [...]. Wybiliśmy w murze ten zamek. [...]. Krata się otworzyła. Wysypujemy się na schody zasnuwane całkowicie dymem. Po omacku tak idziemy. Jeszcze kilka razy cofnęliśmy się, bo tu ludzie szli na górę. Myśleliśmy, że to znowu NKWD. Ale nie. To byli ludzie cywilni. Wyskakuje na podwórze przez bramę i widzę tak: leżące pojedyncze trupy, widać, że strzelane w biegu. Dalej na podwórzach, widziałem tutaj tak samo tych więźniów rozstrzelanych. Szedłem [...], jakaś litościwa kobiecina, taka lwowska przekupa, złapała mnie za rękę i mówi „Chodź synku”. „Chodź – ja cię tu doprowadzę”. Oczywiście wzięła mnie za rękę i poprowadziła mnie do bramy. [...]. I tą bramą wyskoczyłem poza mur. [...]. Jakież było moje rozczarowanie, jak głowę wysadziłem na zewnątrz, a tu zobaczyłem rosyjskiego milicjanta. Szedł. Ale on był zdaje się bardziej przestraszony niż ja. Nawet nie popatrzył na więzienie, na ten mur więzienny, tylko gdzieś tam w kierunku Śródmieścia zdążał. A na podwórzu był tłum ludzi cywilnych i wypływali tamci więźniowie z tego więzienia. A ja poleciałem oczywiście, jak najdalej od Śródmieścia. [...].

Uciekałem na przedmieścia. Uciekłem na przedmieście Lwowa, które się nazywało Hołosko Wielkie [...]. Sam. Nawet pamiętam, jak dziś, że tam ludzie z bramy, bo Lwów był w tym czasie ostrzeliwany przez Niemców, wciągali mnie do bramy, tam do piwnic, żebym siedział tu, no bo przecież ostrzeliwują ze wszystkich stron, rozrywały się pociski. Ja byłem tak przerażony i tak tą wolnością zachłyśnięty, że żadne strachy dla mnie nie istniały. Dla mnie te pociski, które się rozrywały nie były tak straszne, jak myśl, że mogą mnie złapać, że mogą z powrotem do więzienia się dostać, czy, że mogą mnie rozstrzelać. Wolałem zginąć. Wolę zginąć tu na lwowskiej ulicy, jak mam się dostać z powrotem do więzienia [...].

Dostałem się do tego Hołoska. [...]. Wlazłem do jakiegoś ogrodu i tam trzęsąc się ze strachu siedziałem. No może nie tyle ze strachu, co w jakimś szoku nerwowym. [...]. Siedziałem tam, też gdzieś do wieczora. Przed wieczorem zmierzchało się, ten huk artylerii, to ostrzeliwanie Lwowa coraz bardziej się zmniejszało, widziałem cofających się Rosjan [...], widziałem jak tam uciekali w stronę miasta, w stronę centrum miasta, a ja tu siedziałem w tych krzakach.

Pod wieczór znalazła mnie jakaś kobiecina, właścicielka tego domku podmiejskiego, zobaczyła. „A synku skąd ty?” „Z więzienia”. „Chodź” mówi – „dostaniesz coś jeść”. No ja oczywiście wygłodzony, tak, jak dzisiaj przypominam sobie [dostałem] ziemniaki z kwaśnym mlekiem. Ja to chciałem tak łapczywie zjeść, „nie tak powoli, jedz, jedz, tak powoli bo możesz zachorować”. [...]. Chciała mi jakieś posłanie zrobić. Nie, nie chciałem, bo ja byłem straszliwie obdarty, dziury na kolanach, łokciach, w każdym razie w strzępach to moje ubranie, na skutek tych wielokrotnych tzw. dezynfekcji. [...]. Taki obdarty, obłachany,²³ no więc dała mi tam jakieś porcięta, żebym się jakoś przykrył ale w mieszkaniu spać nie chciałem. „Ale, gdzie będziesz spał?” No jakaś stodoła, obórka, coś takiego, jakieś pomieszczenie gospodarcze było. Proszę sobie wyobrazić moje przerażenie, jak ja wchodząc do tej obórki spotykam takiego samego więźnia, jak ja. Ale tamten był w takim szoku nerwowym, że nie można było właściwie do niego słowa przemówić, żadnego kontaktu nawiązać. Trząs się straszliwie ze strachu. To był starszy człowiek z tego samego więzienia, z „Brygidek”. Trząs się straszliwie. Jak ja wszedłem to on z tej obórki uciekł. Mnie się przestraszył, czy uważał, że jak nas dwóch to nas prędzej znajdą. Trudno mi zrozumieć jego motywację ale w każdym razie uciekł.

²³ Czyli w zniszczonym ubraniu.

Ja zostałem sam. Zakopałem się w siano. Ta kobiecina przychodziła do mnie tam kilka razy, uspokajała mnie. I inni ludzie zaczęli przychodzić, ja zacząłem ich prosić, żeby tu nie zaglądali do mnie, bo nie wiadomo, jak tam z tymi Rosjanami ale oni mówili „już uciekają kacapy²⁴ bolszewiki”. Ludzie bardzo serdeczni, prości.

I tak przesiedziałem, trochę się tam zdrzemnąłem. Mieliśmy inną jeszcze atrakcję, bo oni wycofując się, proszę pamiętać, że tam była prochownia pod Brzuchowicami, w tym Hołosku Małym, zaczęli tą prochownię wysadzać, niesamowite fajerwerki tej amunicji i to wszystko latało na wysokość kilkuset metrów, spadało, niektóre szczątki pocisków to spadały, tu była odległość jakieś pięć kilometrów, słychać było bębnienie po dachu tych odłamków. I trwało to prawie całą noc te wybuchy tej prochowni. Niedziela rano. Prawie, że już nie było słychać, tam czasem [...] głośniejsze detonacje, głośniejsze wybuchy ale się uspokoiło.

I jest Niedziela 29 czerwca. Ranek był taki ładny. Niemcy zaczynają wkraczać do Lwowa. Ja obserwuję to wkraczanie z tej miejscowości Hołosko Wielkie [...] z tej szopki wyszedłem [...]. Zobaczyłem przemieszczających się Niemców, jadących na motocyklach tym pierwszym oddziałem, zakurzonych, w tych hełmach charakterystycznych [...] jadących tam, taka polna droga była. No i oczywiście masę przemieszczających się szosą w kierunku Lwowa czołgów, dział, nawet były te oddziały górskie, koźmi, ci strzelcy alpejscy, to wszystko przemieszczało się tam – ta szosa. A tu kilka motocykli ostrzeliwało jeszcze idących przez tą łąkę – jak dziś pamiętam- niemieckich żołnierzy. No oczywiście – w duchu – przywitałem ich jako wybawicieli, jako wyzwolicieli. I postanowiłem iść do domu, do Brzuchowic.

Źródło. Relacja Zdzisława Teliczka, AWOK I/0825. [Transkrypcja nagrania].

Dokument 3. Wspomnienia Bohdana Kazanivskyego²⁵ – narodowości ukraińskiej (więzienie NKWD Obwodu Lwowskiego nr 1 „Brygidki”)

W niedzielę 22 czerwca 1941 roku usłyszeliśmy strzały artylerii przeciwlotniczej. Z początku myśleliśmy, że to ćwiczenia przeciwlotnicze ale kilka godzin później zaczęły spadać bomby na miasto i wiedzieliśmy, że jest wojna. Zamiast dotychczasowego jednego strażnika na korytarzach rozstawiono pięciu. W porze obiadowej tego samego dnia straż zaczęła wywoływać z cel więźniów, prowadziła ich do piwnic i my usłyszeliśmy strzały, co znaczyło, że odbywa się masowe rozstrzelanie. Mogliśmy bardzo dokładnie śledzić to, co działo się w piwnicach, ponieważ okna mojej celi znajdowały się przy samym wejściu do piwnicy. Cały dzień i noc wyprowadzali ludzi z celi.

W poniedziałek wieczorem NKWD opuściło więzienie. Wtedy zaczęliśmy wyłamywać zamki i drzwi. Niektórym udało się wydostać z celi i we wtorek rano na dziedzińcu więziennym znalazło się około 100 osób. Z okna mojej celi widziałem, jak oddział straży NKWD wszedł główną bramą więzienia na podwórze i zaczął strzelać do zebranych tam ludzi, zabijając od razu kilkadziesiąt osób. Pozostałych, którzy pozostali na podwórzu kierowano do celi i kazano się położyć twarzą do podłogi.

W środę ja też zostałem wywołany na rozstrzelanie. Żeby się uratować w ostatniej chwili powiedziałem strażnikowi, że nie ma w celi osoby o takim nazwisku. Gdy przyszli po raz drugi, powiedziałem, że więźnia o takim nazwisku już wywołano poprzedniego dnia i że jakiś enkawudzista zabrał moje dokumenty. W ten sposób uratowałem się do soboty. W sobotę w naszej celi, z początkowej liczby 100 więźniów zostało jedynie dwunastu.

Gdzieś w środku krytycznego tygodnia byłem świadkiem takiej sceny. W więzieniu przebywała rodzina, która składała się z ojca, matki i dwojga dzieci. Gdy ich wywołano na rozstrzelanie matka prosiła, by przynajmniej oszczędzili dzieci, ale już wkrótce cała rodzina została rozstrzelana.

Gdy w piwnicy zabrakło już miejsca dla ukrycia zwłok, na dziedzińcu więzienia wykopano jamę i tam wrzucano trupy. Więźniowie byli ustawiani nad brzegiem dołu i rozstrzeliwani, a ich ciała padały do jamy.

W omawianym tygodniu nie otrzymaliśmy żadnego pożywienia i wiele osób oszalało. W sobotę rano, kiedy w pobliżu było już słychać niemiecką artylerię, NKWD opuściło więzienie. Za jakieś pół godziny przybyły

²⁴ Pogardliwe określenie używane w stosunku do Sowieców, Rosjan, bolszewików.

²⁵ Bohdan Kazanivskij (1916–2017) – działacz OUN, księgowy, więzień polityczny II Rzeczypospolitej, aresztowany w styczniu 1940 r. przez NKWD podczas przekraczania granicy niemiecko-sowieckiej.

do więzienia grupy uzbrojonych w krótką broń ludzi, jak się później dowiedzieliśmy – członkowie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, którzy oswobodzili nas z więzienia. Ukrywałem się w piwnicy katedry św. Jura. Wychodząc z więzienia zobaczyłem porozbijane okna piwnicy i chciałem tam zobaczyć. Ale uzbrojony ukraiński partyzant, który stał na straży powiedział do mnie: „Nie patrz tam, nie ma na to czasu. Tam jest pełno trupów”. Na podwórzu była zasypana jama, 10 metrów szeroka i 15 długa. Idąc po świeżo nasypanej ziemi czuło się, że pod cienką warstwą ziemi są ludzkie ciała. Ściany dookoła więzienia były obryzgane krwią.

Źródło: „Злочини комуністичної Москви в Україні вліти 1941 року”, Нью-Йорк 1960, с. 53-54. [Tłumaczenie z języka ukraińskiego].

Dokument 4. Wspomnienia Danyła Teslenki²⁶ – narodowości ukraińskiej (więzienie NKWD Obwodu Lwowskiego nr 1 „Brygidki”).

Wojna sowiecko-niemiecka wybuchła 22 czerwca 1941 roku (w niedzielę), a już we wtorek wieczorem, 24 czerwca 1941 roku, NKWD rozpoczęło rozstrzeliwanie więźniów. Więźniów rozstrzeliwano w celach, po tym jak kazano im położyć się twarzą do dołu na podłodze. Dwóch więźniów zostało zastrzelonych w naszej celi, a trzech zostało rannych. W nocy, zaraz po tym zdarzeniu, dwóm rannym kazano wyjść z celi i już nigdy nie wrócili. Ciała dwóch zastrzelonych więźniów zostały usunięte z celi dopiero w czwartek rano, 26 czerwca 1941 roku. Aby stłumić odgłos strzałów, NKWD uruchomiło silniki ciężarówek i traktorów na dziedzińcu więziennym.

Masakra więźniów trwała nocami, aż do sobotniego poranka, 28 czerwca 1941 roku. W ciągu dnia więźniów wywoływano po imieniu i kazano im wychodzić z cel, rzekomo dlatego, że mieli zostać zwolnieni i odesłani do domu (ponieważ „Stalin wydał manifest”), ale żaden z nich nigdy nie wrócił do domu.

W celi nr 84 więzienia Brygidki pierwotnie przebywało 115 więźniów. Kiedy o trzeciej nad ranem w sobotę, 28 czerwca 1941 roku, wywołano moje nazwisko do opuszczenia celi, w celi pozostały tylko dwie osoby: polski ksiądz Orzechowski z Jaworowa²⁷ i trzeci z trzech rannych więźniów, którego nazwiska już nie pamiętam. Czterech enkawudzystów, uzbrojonych w bagnety, zaprowadziło mnie do wartowni, gdzie przebywało już 16 więźniów, z rękami skrzyżowanymi na plecach i związanymi drutem. Potem zrobili ze mną to samo. Kilka minut później zaprowadzono nas przez dziedziniec do piwnicy więzienia. Tam moim oczom ukazał się przerażający widok: niezliczone ciała więźniów, którzy zostali rozstrzelani, a ich ciała okaleczone wszelkiego rodzaju narzędziami.

Kazano nam stanąć twarzą do ściany. Widząc stos ciał z roztrzaskanymi czaszkami, zemdlałem i upadłem na zwłoki. Dopiero około godziny 8 rano w niedzielę, 29 czerwca 1941 roku, odzyskałem przytomność. Usłyszałem przeraźliwy krzyk i szloch kobiet, które przyszły szukać swoich krewnych i przyjaciół. Wyciągały ciała ze stosu. Prawdopodobnie leżałem pod zwłokami, bo byłem cały we krwi, ale nie ranny.

Kiedy postawili mnie na nogi i rozwiązali mi ręce, które były związane drutem, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robią, i w przerażeniu pobiegłem po schodach i wybiegłem z więzienia. Biegłem dalej w panice, aż dotarłem do ulicy, gdzie zatrzymali mnie ludzie i próbowali uspokoić, mówiąc, że bolszewicy opuścili miasto. Ktoś zabrał mnie potem do domu, gdzie mnie umyli i dali mi coś do jedzenia, i stopniowo odzyskiwałem przytomność. Pokój był pełen ludzi i ciągle pytali mnie o nazwiska więźniów, którzy byli ze mną w tej samej celi. Wymieniali nazwiska wielu więźniów, ale nie znałem żadnego z nich. Podczas gdy zadawali mi mnóstwo pytań, do pokoju weszło trzech żołnierzy armii niemieckiej. Ale ponieważ nikt z nas nie mówił po niemiecku, nie mogliśmy z nimi rozmawiać.

Tego samego popołudnia poszedłem do cerkwi Uspeńskiej na ulicy Ruskiej i powiedziałem proboszczowi, że jego wikariusz Żdan²⁸ był ze mną w tej samej celi. Kiedy zapytałem go, czy wrócił, powiedział, że nie. Później po południu wybraliśmy się razem do więzienia na Zamarstynowie. Na podwórzu zobaczyliśmy w

²⁶ Osoba niezidentyfikowana.

²⁷ Osoba niezidentyfikowana.

²⁸ O. Iwan Żdan (1900–1941) – kapłan greckokatolicki, prefekt Małego Seminarium Duchownego we Lwowie, nauczyciel religii w ukraińskich szkołach, zamordowany po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r.

kącie stertę ubrań; rozpoznałem w niej kurtkę, która należała do Mychajły Zaliszczyka²⁹ z mojej wsi – sam ją dla niego uszyłem. Kołnierz kurtki był poplamiony krwią. Później poszliśmy z proboszczem do więzienia na Łąckiego i pokazałem mu celę, w której przebywałem razem z księdzem Żdanem. Na dziedzińcu więziennym było mnóstwo ludzi, stojących przy stercie zwłok i płaczących. Widok ten bardzo mnie przygnębił i proboszcz musiał mnie podtrzymać i wyprowadzić na ulicę, bo inaczej zemdlałbym. Tego samego niedzielnego wieczoru ktoś przyszedł odwiedzić proboszcza cerkwi Uspeńskiej, a następnie zabrał mnie do siebie, żebym przenocował w jego domu.

W poniedziałkowy poranek wyruszyłem do domu pieszo, ale pokonanie 87 kilometrów zajęło mi pięć dni, mimo, że część drogi przebyłem, korzystając z podwózki. W chwili aresztowania ważyłem około 102 kilogramów, natomiast po wyjściu z więzienia – zaledwie 51 kilogramów, co było zdecydowanie za mało jak na mój wzrost (ok. 178 cm.).

Jestem gotów w każdej chwili potwierdzić te zeznania pod przysięgą.

2 lutego 1960 r. (Podpis)

Źródło: K. Kiebusinski, A. Motyl, „The Great West Ukrainian Prison Massacre of 1941”, Amsterdam 2017, s. 295-297 za *Eye-witnesses Speak...: Testimonies on the Massacres by the Bolsheviks (i.e. by the Soviet Russian NKVD) of Ukrainian Political Prisoners in June 1941, and during Later Evacuations* [w:] „The Ukrainian Review”, vol. 7, No. 2, London 1960, s. 30-32. [Tłumaczenie z języka angielskiego].

Dokument 5. Wspomnienia s. Oleny Viter³⁰ – narodowości ukraińskiej (więzienie NKWD Obwodu Lwowskiego nr 1 „Brygidki”).

Śledztwo przeciwko mnie było zakończone. Zostałam przewieziona do więzienia „Brygidki”. Czekałam na termin rozprawy sądowej. W maju 1941 roku wznowili przeciwko mnie śledztwo i przyszło mi przeżyć jeszcze niejedną ciężką godzinę. Jeden raz zawieźli mnie z Brygidek do więzienia przy ulicy Łąckiego na przesłuchanie. Pytali, czy ja chcę niepodległej Ukrainy. Powiedziałam, że tak. Wrzucili mnie do lochu, gdzie zostałam obskoczona przez szczury. Potem wzięli mnie znowu do pokoju do śledczego, zdjęli ze mnie koszulę i puścili przewodem prąd elektryczny przez ciało. Przesłuchanie trwało cały dzień. Raz po raz przekonywali mnie, że mam jeszcze ostatnią okazję uratować się, bo inaczej zostanę zasądzona na śmierć. Proponowali, żebym zgodziła się pracować dla NKWD, to znaczy stała się donosicielką, wtedy mnie wypuszczą na wolność. Zapewniali, że nikt się o tym nie dowie. Odpowiedziałam, że żyłam uczciwie i uczciwie chcę umrzeć.

29 czerwca 1941 r. miał odbyć się sąd nade mną. Ale dnia 22 czerwca rozpoczęła się wojna pomiędzy Sowietami a Niemcami, a dnia 26 czerwca³¹ więźniowie rozbili drzwi naszej celi i wyszłam na wolność. Aż do wkroczenia niemieckiej armii do Lwowa ukrywałam się w podziemiach pałacu metropolitalnego na górze św. Jura. Siedziałam w więzieniu rok i dwa tygodnie.

Źródło: „Західня Україна під большевиками IX. 1939 – VI. 1941, Нью-Йорк 1958, с. 403; „Незалежний культурологічний часопис „І”, 2011, н. 66, Львів 2011, с. 282-283. [Tłumaczenie z języka ukraińskiego].

Dokument 6. Wspomnienia Wandy Ossowskiej³² – narodowości polskiej (więzienie NKWD Obwodu Lwowskiego nr 2 „Zamarstynów”).

Nasza cela była na parterze, pierwsza po prawej stronie po wejściu w korytarz. Mężczyźni siedzieli oddzielnie, w dużym gmachu, który stał szczytem do ulicy. Przylegała do niego wielka brama, zaraz przy nim był

²⁹ Mychajło Zaleszczyk (1911–1941) – oskarżony z art. 54-2-11 Kodeksu Karnego USRS, zamordowany przez NKWD po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r.

³⁰ S. Olena Viter (1904–1988) – przełożona klasztoru ss. Studytek we Lwowie, za współpracę z OUN aresztowana 11 czerwca 1940 r., oskarżona z art. 54-2-8-11 Kodeksu Karnego USRS.

³¹ Błędna data – winno być 28 czerwca 1941 r.

³² Wanda Ossowska (1912–2001) – we wrześniu 1939 r. pielęgniarka Szpitala Wojennego nr 604 we Lwowie, kurierka Związku Walki Zbrojnej, aresztowana w 1940 r. przez NKWD pod fałszywym nazwiskiem Heleny Press.

mur. W tym budynku na pierwszym piętrze odbywały się śledztwa. I tam była ta olbrzymia sala ze stołem nakrytym zielonym suknem. W tej właśnie sali zobaczyłam po uwolnieniu ciała pomordowanych. [...].

Na parę dni przed ucieczką Rosjan i wkroczeniem Niemców czuło się w więzieniu niepokój, narastał bałagan. Domyślałyśmy się, że zbliża się wojna. W czwartek 26 czerwca 1941 roku wywołali z celi wszystkie moje współtowarzyszki, Ukrainki. Z rzeczami. Tylko mojego nazwiska nie wyczytali. Byłam przerażona: zostawałam sama. Było oczywiste, że one jadą do transportu [na wschód], a mnie czeka najgorsze. Pocieszały: „Będziesz żyła, jeszcze się spotkamy”. Byłyśmy zaprzyjaźnione, mam tyle wdzięczności za ich delikatność, kulturę, pomoc. Poza więzieniem byłybyśmy wrogami – one współpracowały z niemieckim wywiadem. Ale solidarność więzienna tych dziewcząt była nieprawdopodobna.

Spędziłam w celi noc sama z czwartku na piątek. Dobijam się do drzwi: „Weźcie mnie”. Strażnik odpowiedział: „Niczewo, i ty pajdiosz”³³. Słyszałam w nocy samochody na pełnym gazie, strzały od czasu do czasu, szczekanie psów, jakiś krzyk. Myślałam- odgłosy wyjeżdżających. Rano wywołali wszystkie kobiety z cel w naszym korytarzu – zostało nas pięć. I tę piątkę zaprowadzono do tamtego szczytowego, męskiego budynku. Wsadzono nas do dużej pustej celi na parterze. Leżało tam mnóstwo misek i sterta koców.

Nazajutrz nie było już w więzieniu ani jednego strażnika. Doszły nas odgłosy kucia ściany. Zawołałam przez okno. Odezwali się mężczyźni z dalszej celi – powiedzieli, że rozbierają piec, żeby się wydostać, obiecali pomoc. Potem usłyszałyśmy pod oknem gwar, wołania. Przyszli ludzie z miasta z opaskami P[olskiego] C[zerwonego] K[rzyża], żeby nas uwolnić. Rozbili drzwi. Wpadłam w ramiona znajomego lekarza³⁴, zebrał ludzi z polikliniki, żeby nas ratować. Doktor spytał, czy wiem, gdzie są gabinety przesłuchań, bo musimy zniszczyć dokumenty, żeby Niemcy tego nie znaleźli. Powiedziałam: „Wiem, na pierwszym piętrze”. Wbiegliśmy, otwieraliśmy kolejno drzwi. Teczki były, ale wszystkie puste. I na końcu doktor otworzył uchylone drzwi do tej olbrzymiej sali, w której mogły się odbywać posiedzenia sądowe. Zrobiło mi się słabo: zobaczyłam stopy nagich ciał pod sufit, zakrzepła krew na podłodze. Taki to był ich transport...”. [...].

Niemcy, jak tylko weszli w poniedziałek 30 czerwca, to spędzili Żydów z całego Lwowa. Z domów ich brano. Gnali ich na czworakach do więzień. Robiło to straszne wrażenie. Z więzień szedł trudny do wytrzymania zaduch – ta potworna rzeź odbyła się z czwartku na piątek, a było gorąco.

Pierwsze kroki w poniedziałek skierowałam na Zamarstynów. I tam zobaczyłam tych Żydów. Myli rozkładające się zwłoki i układali je na dziedzińcu więziennym. Wtedy znalazłam i rozpoznałam moje dziewczęta. Zostawiłam na piersiach kartki z nazwiskami. Zwłoki były straszliwie zmaltretowane. Zobaczyłam Stefkę Dulębę, miała obcięte piersi, Maryjkę, córkę popa, miała zdjęty skalp.³⁵ Nosiła długie, piękne warkocze. Któraś miała ciało pocięte bagnetem. Robili to przed czy po śmierci? Byłam przerażona i otumaniona. Przecież one szły do transportu, miała jechać do Rosji, to ja zostawałam na śmierć, na rozstrzelanie. A tu nagle ja je widzę tak straszliwie pomordowane. Niemcy chodzili w maskach, zapowiadali przez megafony: „Kto miał kogoś w więzieniu na Zamarstynowie, przychodźcie, rozpoznawajcie zwłoki”. [...].

Źródło: E. Kotarska, „Proces czternastu”, Warszawa 1998, s. 247-249.

Dokument 7. Wspomnienia Bohdana Shtyhy – narodowości ukraińskiej (więzienie NKWD Obwodu Lwowskiego nr 4 „Jachowicza”).

W naszej celi było gorąco jak w piecu. W celi, gdzie za Polski siedziało jakieś 25 osób, teraz było ich od 90 do 100. Wszyscy leżeli na podłodze w samej bieliźnie. Niemieckie samoloty już drugi dzień bombardowały miasto. Wszyscy się martwili: „Co oni teraz z nami zrobią?”. Bo wszyscy tu byli jeszcze w trakcie śledztwa.

³³ „Nieważne i ty pójdziesz”

³⁴ Był to dr. Józef Aleksiewicz (1884–1957) – chirurg, uczestnik wojny ukraińsko-polskiej 1918–1919, Naczelnny Lekarz Komisji Zdrojowej i budowniczy sanatorium przeciwgruźliczego „SANATO” w Iwoniczu – Zdroju, we wrześniu 1939 roku komendant Szpitala Wojennego nr 604 we Lwowie.

³⁵ Informacja mylna. Prawdopodobnie chodzi o zamordowaną Marię Jareme (1922–1941) – ponieważ Maryjka Werbenec – córka popa, była jedną z osób, które ocalały w więzieniu NKWD Obwodu Lwowskiego nr 2 („Zamarstynów”).

Nagle w południe powiedzieli do nas: „bez rzeczy” wyjść. Prowadzili nas korytarzami i schodami do piwnicy. Tu nas zamknęli, przygnawszy jeszcze ludzi z dwóch innych cel. Można było już tylko stać. My myśleliśmy, że tu zebrali nas, żeby ochronić przed niemieckimi bombami. Jeszcze nawet ktoś ze lwowskiej inteligencji powiedział: „Zobaczcie, bolszewicy to nie takie zbiry, jak o nich myślą”. Oni nawet o więźniów zadbali, żeby ci nie ginęli niewinnie od bombardowania”.

Jednak niebawem wyjawiała się straszna prawda. Jeden z podsłuchujących pod drzwiami nagle krzyknął niesamowicie: „Koledzy, nas zamurują”. Nastąpiła cisza, jak makiem zasiał. Za drzwiami słychać było naprawdę głucho uderzenia młotka i szurania kielni z wapnem o cegły. Przepchałem się bliżej drzwi, żeby usłyszeć, nad słuchający nie pomylili się. Okazało się, że ta piwnica – to nasz grób.

Ktoś znalazł kawałek chemicznego ołówka: każdy po kolei brał i pisał w milczeniu na koszuli swoje imię-nazwisko, datę urodzenia, adres, a także adres swoich bliskich – przy skąym świetle lampki nad drzwiami. Potem ucił stukot młotka za drzwiami i lampka elektryczna zgasła. Mijały chwile, jakie wydawały się godzinami. Serce rozrywało się, jak żegnali się przed śmiercią dobrzy przyjaciele. Czuć było zduszony ludzki szloch. Ktoś oszalał i zaczął niesamowicie krzyczeć. Inni bez opamiętania uderzali gołymi piąstkami w drzwi. Powietrze stawało się coraz cięższe. Mojemu sąsiadowi puściła się z nosa krew, on oparł się o mnie. Jakoś wszyscy dookoła mi obrzydli, tak, że tylko surowo warknąłem na niego. Inni też stali się tacy nieprzyjaźni. Wtedy zakręciło mi się w głowie i zsunąłem się obok ściany na podłogę. Potem pamiętam tylko, że na chwilę poczułem, jak mnie ktoś wzięwszy pod pachy, włókł schodami do góry, a moje pięty były przy tym o kamienne schody. Gdy oprzytomniałem drugi raz, to otworzywszy oczy, zauważyłem, że leżę na więziennym podwórzu pod wysokim murem. Leżało tu jeszcze około półtora dziesiątki takich więźniów, jak ja. Niektórzy siedzieli już oparci plecami o mur. Jacyś mężczyźni w mundurach sowieckiej milicji wlekli nowych więźniów z piwnic pod mur. Niektórzy już całkiem nie odzyskali przytomności. Tymi już nikt się nie zajmował. Inni otwierali oczy i znowu tracili przytomność. Dwóch może trzech „milocjanów” pospiesznie przebiegało od jednego więźnia do drugiego, wlewali z manierki wodę do ust, nakrapiali twarze. We wszystkich ich ruchach widać było wyraźny pośpiech.

Kto z więźniów mógł podnieść się już na nogi, temu pomagali ubrać coś na siebie z kupy łachman i wyprowadzali z podwórza, gdzieś za bramę. Z miasta słychać było wystrzały i od czasu do czasu łoskot gąsienic czołgów. „Milocjanci” mówili po ukraińsku i zwracali się do więźniów słowami „przyjacielu”! Po jakimś czasie pomogli i mnie wyjść za bramę. Powiedzieli mi przy tym: „Przyjacielu, uciekaj stąd jak najszybciej, bo Sowietci są jeszcze w mieście. Jak cię spotkają, powiedz, że cię dopiero co z więzienia zwolniło NKWD. To byli przebrani w milicyjne mundury nasi ludzie z Winnik i ze Lwowa.

Przy bramie, w rogach za gzymsami muru, stało dwóch z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału. Opierając się ręką o mur, powoli odszedłem od bramy więziennej. Bramy wszystkich kamienic były zamknięte na klucz. W końcu, gdzieś za trzecią przecznicą, oparłem się o futrynę pierwszej bramy. Otworzyły się drzwi i zostałem wciągnięty do suteryn. To był jakiś biedny ukraiński stróż. Po mojej nieogolonej brodzie i nędznym wyglądem od razu rozpoznał, że jestem z więzienia. Tu od razu pozwolili mi umyć i ogolić brodę, dali mi mleka do picia i odetchnąwszy z ulgą, poszedłem na Łyczaków, gdzie mieszkała moja bratowa. Kiedy zadzwoniłem do niej pierwszy raz, nie poznała mnie i znowu zamknęła drzwi. Dopiero za drugim razem, kiedy w złości krzyknąłem do niej: „To w Romanowie, kiedy przyjechałaś na wakacje, znałaś mnie, a tu teraz nie chcesz mnie poznać?” – wpuściła mnie do mieszkania. Byłem tak odmieniony, że początkowo wzięła mnie za jakiegoś ulicznika.

Źródło: K. Kiebuszinski, A. Motyl, „The Great West Ukrainian Prison Massacre of 1941”, Amsterdam 2017, s. 292-293; Б. Ш. [w:] О. Горбач, „Шлях зі Сходу на Захід”, Львів 1998, с. 30-32. [Tłumaczenie z języka ukraińskiego].

Dokument 8. Wspomnienia Reginy Jurewicz³⁶ – narodowości polskiej (więzienie NKGB Obwodu Lwowskiego „Łackiego”).

Poruszę tylko sprawę mego aresztowania w domu moich rodziców we Lwowie przy ul. Kochanowskiego 75. Dom ten jest już zburzony. Przyszło wówczas trzech wojskowych. Sprawdzili dowody osobiste. Rodzicom

³⁶ Regina Jurewicz (1921– ?) – harcerka, aresztowana po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. przez NKWD.

dowody zwrócili, mój zatrzymali twierdząc, że jest fałszywy. Wyprowadzili mnie na ulicę, tam stała ciężarówka, w której już było kilkanaście młodych chłopców i dziewcząt. Zawieziono mnie do więzienia przy ul. Łąckiego. Po odebraniu wszystkich dokumentów (miałam przy sobie metrykę, świadectwo maturalne itp.), które nosiłam przy sobie ponieważ było już pierwsze bombardowanie miasta. Zaprowadzono mnie do sali, w której już było przeszło 20 osób (Polki, Ukrainki, Żydówki). Sala niewielka, łóżka żelazne bez materaców, w kącie („paraszka”)³⁷ wiadro. W sali były również dwie Polki: Danusia Bochenek³⁸ i Kazia Jagniewska.³⁹ Na drugi dzień byłam przesłuchana w ogromnej sali, za stołem trzech wojskowych, w czterech rogach sali czterech uzbrojonych żołnierzy. Zostałam oskarżona o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Odpowiedziałam ostro: „W szkole uczono mnie, że pierwszym wrogiem są Niemcy, więc nigdy w życiu nie pracowałam dla nich”. Po dłuższej mojej patriotycznej wypowiedzi dano mi do podpisania protokół zeznań. Nie podpisałam, powiedziałam, że najpierw muszę go przeczytać bo przecież znam język rosyjski. Po powrocie do sali powiedziałam koleżankom by też niczego nie podpisywały. Po mnie przesłuchiowano Kazię, która protokół podpisała. Wywołana powtórnie już do sali nie wróciła. Czy ten szczegół zadecydował, że została rozstrzelana?

Zaczęłyśmy nadслуchiwać odgłosów na korytarzach by zorientować się, co się dzieje, bo przez małe okienko pod sufitem zobaczyłyśmy puste podwórze oraz otwarte garaże. Ktoś – to byli mieszkańcy Lwowa Polacy, którzy weszli do więzienia by szukać swoich krewnych i znajomych – na korytarzu uchylił okienko w drzwiach i powiedział: „tam są trzy kobiety”. Prosiłyśmy by nas wypuszczono. Szybko opuściłyśmy więzienie, po ulicach krążyły jeszcze czołgi. Bez przeszkód wróciłyśmy z Danusią na ul. Kochanowskiego do naszych domów. [...] Po wypoczynku (nie pamiętam, czy trwało to dwa czy trzy dni) poszłam by zobaczyć co się dzieje w więzieniu. Widok potworny. Bracia Kazi Jagniewskiej znaleźli jej ciało, była być może ostatnią rozstrzelaną osobą.

Źródło: List Reginy Jurewicz do P. Naleźniaka z 25 VI 2013 roku.

Dokument 9. Zeznania Omelyana Matły⁴⁰ – narodowości ukraińskiej (więzienie NKGB Obwodu Lwowskiego „Łąckiego”).

Drugiego dnia po wybuchu wojny zauważyłem wzmożony ruch w więzieniu. Wzmocniono straż. Przeniesiono mnie z drugiego piętra na pierwsze. Powiniennem się poprawić: to był parter. Zostałem tam zamknięty w celi o wymiarach około 4-5 metrów wraz z 20 innymi więźniami. Większość z nich stanowili Ukraińcy. Wyprowadzono dwóch Polaków i Żyda, którzy początkowo również przebywali w celi. Tego samego dnia, około godziny 5 lub 6, otworzyły się drzwi celi i pod dowództwem naczelnika więzienia weszło do niej siedmiu enkawudzystów. Jego nazwisko jest mi nieznane. Krzyczeli do nas: „Kładźcie się, dziwki!”. Natychmiast rozpoczęła się strzelanina. Dwunastu naszych ludzi zginęło, dwóch zostało ciężko rannych, a trzech, w tym ja, nie zostało trafionych. Uniknąłem masakry, ponieważ śmiertelnie ranny mężczyzna upadł na mnie.

Wśród funkcjonariuszy NKWD rozpoznałem sędziego śledczego kapitana Schneidera,⁴¹ który jest Żydem. Ogólnie rzecz biorąc, funkcjonariusze NKWD, którzy traktowali nas ze szczególnym okrucieństwem, byli w większości Żydami. Po tym, jak do nas strzelano, ci sami mężczyźni biegali od celi do celi i strzelali do więźniów. Kiedy ostatnie strzały ucichły, ostrożnie wstałem, żeby zobaczyć, gdzie poszli nasi mordercy.

Nagle usłyszałem, że wracają. Usłyszałem, jak Schneider mówi: „Sprawdźcie jeszcze raz w każdej celi, czy wszyscy nie żyją”. Potem padło jeszcze kilka strzałów. Szybko wpełzłem pod zwłoki, po uprzednim rozmazaniu krwią swej twarzy i innych rannych. Chciałem sprawiać wrażenie, że i my zostaliśmy śmiertelnie ranni. Mężczyźni ponownie podeszli do naszej celi i oddali jeszcze trzy strzały. Przechodzili od celi do celi, a potem usłyszałem, jak jeden z nich zawołał: „Chodźcie szybko na dziedziniec, ciężarówki już czekają”. Leżałem w celi jeszcze chwilę, czekając, czy enkawudziści wrócą. Ponieważ na jakiś czas zapanowała cisza, wymknąłem się z celi z innym nietkniętym mężczyzną. Ponieważ w wartowni nikogo już nie było, wyszliśmy na dziedziniec i

³⁷ Pełniącą rolę prymitywnej muszli klozetowej beczka lub wiadro.

³⁸ Danuta Bochenek (1924 –?) – harcerka, absolwentka gimnazjum, aresztowana 24 czerwca 1941 r. przez NKWD.

³⁹ Kazimiera Jagniewska (1915–1941) – harcerka, drużynowa, ukończyła V rok wydziału filologii polskiej Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie uzyskując absolutorium, aresztowana 24 lub 25 czerwca 1941 r. przez NKWD.

⁴⁰ Omelyan Matla (1906–?) – działacz OUN, absolwent filozofii Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, więzień polityczny II Rzeczypospolitej, aresztowany w 1940 r. przez NKWD.

⁴¹ Osoba niezidentyfikowana.

stamtąd wyszliśmy na zewnątrz. Enkawudziści rzeczywiście odeszli. Wrócili jednak w nocy. Ich nieobecność szybko wykorzystali mieszkający w pobliżu Polacy, którzy wynieśli rannych z cel i zawieźli ich do szpitala. Ci, którzy nie zostali ranni, w liczbie około 26, uciekli z więzienia, podobnie jak ja. W sumie zastrzelono około 280 osób. Wśród nich mogło być 20–30 kobiet.

Źródło: „Bolschewistische Verbrechen gegen Kriegsrecht und Menschlichkeit. Dokument zusammengestellt vom Auswärtigen Amt.”, 1. Folge, Berlin 1941, s. 34-35. [Tłumaczenie z języka niemieckiego]

Dokument 10. Wspomnienia [NN] – narodowości ukraińskiej (więzienie NKGB Obwodu Lwowskiego „Łąckiego”).

Siedziałem już trzy miesiące w więzieniu przy ul. [Leona] Sapiehy-Łąckiego w celi na drugim piętrze. Wszystkich nas było tam, w ostatnim czasie ośmiu, sami Ukraińcy, mieszkańcy wsi, robotnicy i inteligenci. W poniedziałek 23 czerwca około szóstej godziny po południu (siódmej godziny niemieckiego czasu) nakazali nam niezwłocznie zejść w dół z rzeczami. Ja i moi koledzy z celi znaleźliśmy się w celi na parterze, gdzie wszystkich nas było dokładnie 20 (więźniowie z trzech górnych cel). Również do innych cel na parterze ściągnęli wszystkich więźniów z obu górnych pięter.

Nagle drzwi naszej celi otworzyły się i w nich pojawił się z rewolwerami w rękach sam naczelnik więzienia przy Łąckiego, nazwiska jego nie znam i trzech strażników- enkawudzistów. Naczelnik krzyknął do nas: „Kłaść się” i natychmiast zaczął strzelać po nas wszystkich, a za nim i wspomniani enkawudziści. Jeden z nich, jak mi się zdaje, z początku nie strzelał, bo naczelnik krzyknął do niego: „Strzelaj sukinsynu, czemu stoisz?” Upadłem odruchowo, jako jeden z pierwszych na posadzkę, na mnie zwały się ciała moich postrzelanych kolegów. Niektórzy z nich nie zginęli od razu, ale się męczyli, większość trafiona kilkoma kulami, zmarła na miejscu.

Potem naczelnik i trzej enkawudziści przeszli do innych cel na parterze i postrzelali ludzi tak samo, jak u nas. Ja nie byłem nawet ranny i nie straciłem ani na chwilę przytomności: umazałem sobie całą twarz krwią, jaka spływała z głowy postrzelonego kolegi Markusa,⁴² jaki upadł na mnie i już umierając mazał mnie sam własną krwią, abym ja mógł się uratować. Za jakiś czas enkawudziści wrócili znowu do nas i oddali jeszcze kilka strzałów do tych nieszczęśników, jacy ruszali się albo dawali oznaki życia. Potem - wszystko ucichło.

Za jakieś pół godziny bardzo ostrożnie podniosłem się i rozglądałem po korytarzu i przylegających celach: wszędzie tam leżały zmasakrowane ciała więźniów, całe ich stosy, a nikogo z enkawudzistów nie było. Próbowałem schować się najpierw na górze, na strychu, ale tam było zamknięte. Wtedy ja cały skrwawiony, ale cały, przebiegłem jednym tchem podwórze i schowałem się w gęstych krzakach, jakie rosną tam od ulicy Tomickiego. Próbowałem spuścić się [po murze] na tą ulicę, ale po niej chodziła cały czas straż enkawudzistów i czekałem do nocy.

W nocy też nie mogłem z tych krzaków uciec, bo gdy tylko ostrożnie wyglądałem na ulicę, wszędzie widziałem straż. Czuję jej kroki. Tej pamiętnej dla mnie nocy widziałem z krzaków także, jak enkawudziści zakopywali zmasakrowane ciała w specjalnie na ten cel wykopanej przez nich mogile, zaraz przy wejściu do więzienia przy ul. Łąckiego, aż po sam mur więzienia. Niektórych, którzy jeszcze widać dawali oznaki życia, dobijali.

W krzakach przesiedziałem w śmiertelnej trwodze całą noc. Trochę oczyściłem się z krwi i obmyłem twarz ziemią i własnym moczem. Była może czwarta godzina rano, jak posterunek straży poszedł na podwórko: skorzystałem z tej chwili, skoczyłem na rynną sąsiedniego domu, spuściłem się po niej szybko na dół i poszedłem krwawiąc blisko domu (zwichnąłem nogę) do niedalekiego miejsca zamieszkania mego znajomego.

Tak cudem uratowałem się – jeden na kilkuset ludzi – od pewnej śmierci.

⁴² Eustachy Markus (1909–1941) – aresztowany 24 października 1940 r., oskarżony z art. 20 i 54-1 Kodeksu Karnego USRS, rozstrzelany w więzieniu NKGB Obwodu Lwowskiego („Łąckiego”).

**Źródło: О. Романів, І. Федущак, „Західноукраїнська трагедія 1941”, Львів 2008, с. 260-261.
[Tłumaczenie z języka ukraińskiego]**